

Świąteczna wyprawa na Śnieżkę

W świąteczny poniedziałek 26 grudnia 2016 roku postanowiłem wejść na najwyższy szczyt Karkonoszy by stamtąd przesłać życzenia. Co prawda pogoda nie była najlepsza ale postanowienia świąteczne należy wypełniać. Dlatego, nie zważając na nasilający się wiatr, pojechałem do Karpacza gdzie, jak się okazało, nie miałem najmniejszych problemów ze znalezieniem wolnego miejsca na parking. Co prawda wyciąg kanapowy był obłożony niemal w stu procentach, jednak miłośnicy narciarstwa korzystali z tras zjazdowych prowadzących do Białego Jaru tak by tracić jak najmniej czasu na ponowne dostanie się na górę.



Biały Jar. Foto: Krzysztof Tęcza

Pogoda wydawała się nieco lepsza niż na dole. Nie czuć było wiatru ani zimna, nie było także dużo śniegu. Właściwie to, poza trasami zjazdowymi, nie było go wcale. Ruszyłem raźnie w stronę wyciągu by nim wjechać na Kopę, wszak są święta, nie ma co się niepotrzebnie męczyć idąc na górę od samego Karpacza. O dziwo nawet nie było tłoku, na schodach do kasy stało ledwie kilka osób. Zadowolony pytam czy ostatni kurs wyciągu na dół będzie o planowym czasie i wtedy dowiaduję się, że wyciąg jest nieczynny. Okazuje się, że ze względu na bardzo mocny wiatr u góry (z tendencją rosnącą) podjęto decyzję o unieruchomieniu wyciągu. Co prawda wyciągi dla narciarzy chodzą normalnie, ale te docierają się znacznie bliżej.

Niezadowolony z takiego obrotu sprawy (patrząc na późną godzinę) ruszam w stronę kasy biletowej KPN gdzie rozmawiam jeszcze chwilę z pracującym tam panem. Dowiaduję się od niego, że trasa jest mocno oblodzona i ogólnie zaczyna być nieciekawie. Po namyśle podejmuję decyzję, że w razie pogorszenia warunków pogodowych po prostu zawrócę. Na razie jednak idę czarnym szlakiem w stronę Białego Jaru. Faktycznie niewiele osób znajduje się na trasie. Część z nich dobrze się przygotowała na taką pogodę, są prawidłowo ubrani, mają do butów poprzypinane raki, widać, że w plecakach niosą odzież na zmianę. Część jednak to chyba wypoczywający w Karpaczu turyści, ci idą w zwykłych butach, niektórzy w adidasach, bez żadnego bagażu. Widać, że po prostu idą na spacer. Zupełnie nie znają reali panujących w górach. Oj będą zaskoczeni, oby tylko nic im się nie stało.

Początkowy odcinek szlaku nie sprawia większych trudności jednak z czasem zaczyna się robić nieciekawie. Pojawia się zmrożony śnieg. Jest go mało jednak ze względu na wiejący mroźny wiatr utworzyła się na nim warstwa lodu, na której trudno się utrzymać. Dlatego wszyscy starają się iść poboczem wykorzystując wystające kamienie i nieprzysypaną śniegiem trawę. Tempo marszu maleje do tego stopnia, że porównywalny odcinek drogi pokonuję w czasie niemal trzykrotnie dłuższym niż na początku.



Górna stacja wyciągu na Kopę. Foto: Krzysztof Tęcza

Wreszcie docieram do miejsca gdzie stał kiedyś pomnik poświęcony ofiarom największej tragedii jaka miała miejsce w Karkonoszach. W roku 1968 w Białym Jarze lawina porwała grupę turystów. Zginęło wtedy 19 osób. By upamiętnić tragedię postawiono tu pomnik. Mimo, iż był on wzniesiony z solidnych granitowych bloków kolejna lawina zabrała również jego. Dlatego nie zdziwiła mnie wcale umieszczona na słupie tablica informująca, że ze względu na zagrożenie lawinowe szlak prowadzący do Strzechy Akademickiej jest zamknięty.

Po krótkim odpoczynku idę dalej. Tablice podają, że na Kopę pozostało tylko 1 km marszu, zaś na Równię pod Śnieżką drugie tyle. Na kolejnych tablicach podano, że na Kopę mamy tylko pół godzinki marszu a na Śnieżkę godzinę dwadzieścia minut. Nic bardziej mylącego. Dane te dotyczą okresu letniego. Zimą, a zwłaszcza w dniu takim jak dzisiejszy, czasy te należy przemnożyć przez ..., no właśnie przez ile: dwa, trzy, a może jeszcze więcej. To się okaże. Na pewno nie będzie lekko.

Dalsza droga wymaga wzmożonej uwagi gdyż leżąca pokrywa śnieżna skrywa pod sobą warstwę lodu, na której łatwo stracić równowagę. Nie ma co się rozglądać by podziwiać krajobraz, trzeba patrzeć pod nogi. Choć po chwili pogoda ułatwia sprawę zasłaniając wszystko siną mgłą. Może dlatego zaraz ujrzałem wyłaniający się w tej mgły budynek górnej stacji wyciągu na Kopę. Początkowo wyglądał on jak jakaś ukryta za zboczem szopa. Gdy jednak podszedłem bliżej nie miałem wątpliwości gdzie jestem. Tym bardziej, że obok stał samochód obsługi. Zrobiło mi się nieco różnie bo skoro dali radę dojechać tu autem to pewnie dalej nie jest tak źle. Szybko okazało się jak bardzo się myliłem. Przecież oni przyjechali tu z samego ranka. O tej porze już nawet nie widać było śladów kół. Wszystko zostało zmiecione przez wiatr. A ten stawał się coraz bardziej porywisty.

Ponieważ ludzi było coraz mniej, trzeba było uważnie patrzeć gdzie stawia się nogi. Nie było wydeptanego szlaku. I tak powolutku, bo i dalsza droga jest znacznie łagodniejsza, poszedłem dalej podziwiając przysypane białym śniegiem rosnące tu kosodrzewiny. Gdy dotarłem do rozwidlenia dróg przez chwilę pomyślałem czy nie udać się najpierw w kierunku Lučni boudy by dopiero od niej ruszyć w kierunku Śnieżki. Szybko jednak porzuciłem takie myśli. Przecież jest już późno i nie zdążę przed zmrokiem wejść na szczyt, a pchanie się tam po ciemku byłoby szczytem głupoty.



Śnieżka. Foto: Krzysztof Tęcza

Idę zatem dalej w stronę Równi i po jakimś czasie zza mgły wyłania się najpierw ten brzydki budynek stojący nieco bliżej, a po chwili widzę schronisko. Nie ma co, trzeba wejść i zagrzać się nieco. Proszę o coś ciepłego i w oczekiwaniu na realizację zamówienia wyciągam z plecaka dodatkowe kurtki, rękawiczki i czapkę. Ubieram się jakbym miał wyruszyć na Syberię ale warunki panujące na zewnątrz nie pozostawiają żadnych złudzeń: będzie nieciekawie. Wypijam gorącą herbatę, zakładam dwie kurtki, czapkę, rękawiczki i wychodzę na dwór. Tam od razu wiatr chce mnie zepchnąć ze schodów. Ładnie się zapowiada – myślę sobie. Widzę jak pojedynczy ludzie są ściągani przez wiatr z drogi. Dobrze, że szlak jest ogrodzony barierkami. Zastanawia mnie tylko niefrasobliwość osób, które mimo iż Droga Jubileuszowa jest zamknięta wracają nią na dół. Przecież tam, gdy wiatr zawieje, nie ma się nawet czego przytrzymać, od razu lecimy w przepaść.

Sprawdzam czas i stwierdzam, że zdążę przed zmierzchem wejść na górę i wrócić na dół. Nie ma na co czekać, ruszam ostrożnie, bo zakosy faktycznie pokryte są miejscami warstwą lodu. Tam gdzie leży śnieg nie jest źle, jednak tam gdzie go brakuje bez trzymania się łańcuchów nie ma co marzyć o przejściu bez wywrotki. Na razie wiatr nieco przycichł, pozwala to na w miarę spokojne wspinanie się pod górę. Dla ochrony naciągnąłem na głowę kaptury obu kurtek. Łańcuchy im wyżej tym bardziej są obrosnięte lodem. U góry muszę najpierw odbijać z nich lód by móc złapać się bezpiecznie. Rękawiczki szybko robią się mokre. Bez jednak trzymania łańcuchów nie ma mowy o dalszym marszu. Przed szczytem wzmagający się wiatr momentami porywa tak mocno, że wygląda jakbym był uwieszoną na łańcuchach chorągiewką. Na szczęście do szczytu pozostało już tylko kilkadziesiąt metrów, inaczej pewnie bym zawrócił. Gdy widzę dyski wiem, że uda mi się. I faktycznie po kilku minutach jestem przy zamkniętych drzwiach spodku. Cały szczyt to jedno wielkie lodowisko pokryte lodowymi grudkami. Szukam zacisznego miejsca, w którym mógłbym chwilę odsapnąć. Znajduję je

przy tylnym wejściu do środkowego dysku. Aby tam dotrzeć przechodzę niemal na czworaka. Wiatr tak się wzmaga, że gdy ktoś zachwiał się pociągnęło go kilkanaście metrów. Nie ma co, trzeba jak najszybciej wracać na dół. Robi się zbyt niebezpiecznie. Faktycznie, jak to mówili na dole, wiatr wykazuje tendencję nasilającą. Wieje pewnie ze sto na godzinę (okazało się, że wiało jeszcze mocniej).

Ze zdziwieniem dostrzegam biegającego małego pieska. Jak on tutaj wszedł, że wiatr go nie porwał. Wkrótce wszystko się wyjaśnia. Gdy podchodzę do dziewczyn, przy których biega ów piesek, słyszę jak rozmawiają po czesku. Tak, Czesi bardzo często zabierają z sobą swoje psiaki. Oni jednak mają ułatwiony dostęp na szczyt. Chociaż, dzisiaj?



Kaplica św. Wawrzyńca. Foto: Krzysztof Tęcza

Robię kilka zdjęć, nagrywam filmik, na którym słychać wycie wiatru, ba nawet go widać, i czynię to po co tutaj wszedłem – przekazuję życzenia świąteczne. Nie wiem co prawda czy w takich warunkach dotrą one do adresatów ale nie będę tego sprawdzał. Trzeba jak najszybciej schodzić, tutaj robi się zbyt nieciekawie. Droga powrotna okazała się znacznie trudniejsza niż gdy podchodziłem na górę. Trzeba było cały czas trzymać się łańcuchów, ich wypuszczenie z rąk mogło być zgubne. Wiatr ścinał z nóg a lód nie pozwalał utrzymać równowagi. Nie spieszyłem się jednak zbyt, wiedziałem, że im wolniej będę schodził tym mam większą pewność, że dotrę na dół cały.

Gdy już byłem przed schroniskiem wiatr tak przybrał na sile, że idący przede mną runęli na ziemię i zaczęli zsuwać się w bok. Na szczęście na tym odcinku jeszcze były barierki, było się czego chwycić.

Mnie ciągle chodził po głowie pomysł dotarcia do Lučni boudy. Patrząc jednak na zegarek dałem spokój i ruszyłem w drogę powrotną tą samą trasą, którą tu przybyłem. Gdy jednak dotarłem do drogi prowadzącej w stronę Strzechy Akademickiej stwierdziłem, że lepiej będzie pójść tam niż schodzić oblodzonym szlakiem przez Biały Jar. I jak się wkrótce okazało bardzo dobrze zrobiłem. Śliska droga wymagała naprawdę dużej uwagi. Zwłaszcza ostatni odcinek przed schroniskiem. Dlatego dalej poszedłem nie na Polanę lecz szlakiem prowadzącym w stronę dolnej stacji wyciągu. Tam było znacznie więcej śniegu, który topiąc się tworzył śnieżną masę ale nie był już taki śliski. Co najwyżej przemokną buty.



Foto: Krzysztof Tęcza

Ciekawym był fakt, że zamknięty z powodu zagrożenia lawinowego łącznik szlaków prowadzący do Białego Jaru z tej strony nie miał żadnych tablic informujących o tym fakcie.

Ja tymczasem schodzę coraz niżej. Coraz bardziej jestem pewien, że dotrę do Karpacza przed zmrokiem. Wkrótce widzę znajomą budkę, w której sprzedawane są bilety do Parku i już jestem przy wyciągu. Teraz tylko muszę odnaleźć samochód i mogę wracać do domu.

Jak się okazało w niespełna sześć godzin pokonałem 16 km podchodząc pod górę ponad 800 metrów i tyle samo w dół. Całkiem niezłe. Chociaż trzeba uczciwie powiedzieć, że momentami było ciężko, nawet bardzo.

Krzysztof Tęcza